Nr. 9. We Lwowie dnia 4. marca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Wyodrębnienie Galicji.

Czy wyodrębnienie Galicji zwiększy reakcję w tym kraju?

VII.

Zarzut, który najczęściej wytaczają przeciwko wyodrębnieniu socjaliści galicyjskiego autoramentu, polega na tem, że wyodrębnienie Galicji byłoby niepożądanem w obecnych warunkach, gdyż zwiększyłoby reakcję w tym kraju, że tylko po zdobyciu powszechnego prawa wyborczego do sejmu i do rad gminnych nastąpi czas odpowiedni na postawienie tej kwestji.

Powiedziałem, że to socjaliści galicyjskiego autoramentu wysuwają powyższy zarzut przeciwko wyodrębnieniu, bo, ile nam wiadomo, przedstawiciele polskiej partji socjalistycznej zaboru rosyjskiego, oraz socjaliści polscy, znajdujący się na emigracji, w znacznej części sympatyzują z wyodrębnieniem Galicji i gorliwym propagatorem tej idei jest p. Veto współpracownik londyńskiego *Przedświtu*. Z punktu widzenia współczesnego socjalizmu, zdaje się, prędzej ci ostatni, niż pierwsi mają rację.

Można powiedzieć, że liczebny stosunek ludności miejskiej do wiejskiej, burżuazji do szlachty, przedstawia się gorzej w Galicji, niż w Austrji wogóle, a w jej przemysłowych prowincjach w szczególności. Lecz słuszną uwagę zrobił socjalista wiedeński, Adler, p. Daszyńskiemu na kongresie w Bernie, że jego marksizm to żaden marksizm, a tylko buhalterja.

Nie można na mocy statystycznych danych odnośnie do procentu wielkich i drobnych właścicieli ziemskich ludności miejskiej i robotniczej przyjść do wniosku, o ile to społeczeństwo jest postępowem lub konserwatywnem. Wchodzi tu w grę cały szereg innych czynników.

W Austrji walki narodowościowe kojarzą się z walkami społecznemi, powstrzymują lub wywołują przewroty w życiu politycznem tego państwa. Jedna i ta sama partja, jak np. Młodoczesi, może przy jednej kombinacji stronnictw występować w obronie wyborów galicyjskich lub oklaskiwać zjawienie się policji w parlamencie, przy innych domagać się najbardziej radykalnych reform. Jeżeli nacisk na reakcyjny rząd Badeniego zwiększał się u Niemców, bo w rządzie tym zasiadało kilku Polaków, to walka z tym rządem dla tej samej przyczyny utrudniała się w Galicji.

Gdzie są właściwie postępowe żywioły w Austrji, które by nas od reakcji broniły? Do lewicy niemieckiej żywią szczególną sympatję socjaliści austrjaccy, objaśnia się to historycznie; partja robotnicza Dolnej Austrji przez długi czas była związana z lewicą niemiecką i do dziś dnia nie wyzwoliła się z dawnych tradycji. Ale pamiętać należy, że za rządów lewicy niemieckiej zaprowadzono stan oblężenia w Pradze, wszak rząd koalicji z 1893 należał do najbardziej reakcyjnych rządów. Za poparcie Koła polskiego, tak Młodoczesi, jak i liberali niemieccy gotowi są zgodzić się na najdziksze rozporządzenia dla Galicji i zamykać oczy na nadużycia.

Wielkie miasta to siedliska wielkich idej, to laboratorja wielkich myśli. Wiedeń jednak stanowi wyjątek. Gdzie jest stolica europejska, któraby obierała takich przedstawicieli jak Bielohlawek, twierdzący na kongresie, że ze wszystkiemi postulatami socjalizmu można się zgodzić, tylko nie z tem, że człowiek od małpy pochodzi. Jakaż stolica europejska wybierała swego przedstawiciela podejrzanej moralności kelnera, będącego pod zarzutem kieszonkowej kradzieży. Powiedzą, Wiedeń obalił Badeniego za pogwałcenie praw parlamentu. Dobrze, ale gdyby posłowie czescy za obstrukcję byli wyrzuceni z parlamentu, czy podniósłby się Wiedeń?

Co daje prowincjom Austrji Wiedeń? Pozory cywilizacji, tandetę konfekcyjną i galanteryjną. Prześledźmy historję kierunków i idej w Galicji, co jej kiedy dał Wiedeń? Podejrzaną teorję o autonomji narodowości i nic więcej. Wszystko, czem żyje pod względem duchowym Galicja, zawdzięcza ona Warszawie. Warszawa oblewana krwią, Warszawa uciskana jest większym skarbcem idej i uczuć dla Galicji, niż Wiedeń. Ta mieszanina etnograficzna, ta ludność, nosząca w swych żyłach dużo niekulturnej krwi słowiańskiej, a z lekka powleczona kulturą niemiecką, jest pod względem umysłowym bezpłodna.

Wiedeń jako centr umysłowy ustępuje trzeciorzędnym miastom niemieckim.

Wobec tego czyż zmniejszenie naszej styczności z Wiedniem może przynieść nam cywilizacyjną szkodę i zwiększyć u nas reakcję?

Nam winno chodzić o rozrost sił społecznych, będących czynnikiem postępu i o społeczną świadomość. Zniszczmy niektóre przeszkody, stawiane dziś naszemu rozwojowi ekonomicznemu, popierajmy przemysł — a w krótkim czasie wytworzymy zmianę w układzie sił społecznych Galicji. Ale na to trzeba wyodrębnienia Galicji.

Co zaś do społecznej i politycznej świadomości to, co ją może łatwiej wytworzyć: czy referowanie na zgromadzeniach ludowych o ugodzie z Węgrami, o rozporządzeniach językowych dla Czech, o różnych innych kwestjach austrjackich, a których nasz chłop, mieszczanin i robotnik słuchają, jak o wilku żelaznym, czy referowanie o sprawach krajowych. Dziś, gdy mowa o politycznej sytuacji, wysuwają się przeważnie sprawy austrjackie, będące przedmiotem obrad parlamentu; po wyodrębnieniu wystąpią na pierwszy plan sprawy krajowe, sprawy bliższe i zrozumialsze dla ludności.

Dziś rząd austrjacki, gdyby potrzebował mógłby wytworzyć przeciwko Kołu polskiemu demagogiczną i reakcyjną partję rządową, kupiwszy np. takiego ks. Stojałowskiego. Lecz ks. Stojałowskiego na długi czas nie mogli by kupić stańczycy, bo jego partja to wytwór rozgoryczenia i niezadowolenia przeciwko szlachetczyznie.

Obrady parlamentarne to szkoła polityczna dla różnych żywiołów społecznych. Postawcie więc ją bliżej do ludności, przenieście ją do kraju, a da ona daleko więcej, niż dziś daje.

Złą szkołą polityczną jest wiedeński parlament. Jest to jakaś mieszanina kongresu międzynarodowego z parlamentem. Stąd zradza się tam grunt dla zjawisk, właściwych w kongresach międzynarodowych, a nie w parlamentach. Występują partje polityczne, nie będące wyrazem pewnych poglądów i interesów, ale partje łączące różne żywioły jednego narodu. Wytwarza się grunt dla tak zwanej solidarności narodowej, na której ołtarzu składają się żywotne interesy niższych, mniej świadomych warstw ludności. Podobny objaw nie mógłby mieć miejsca w wyodrębnionej Galicji. Tam nawet

---

Najnowsze dzieło Hamsuna.

W dawnych powieściach Knut Hamsuna miłość nie wysuwała się nigdy na plan pierwszy dopiero ostatnią, pt. „Wiktorja“, poświęca jej Hamsun wyłącznie. Jak „Głód“ napisać mógł tylko człowiek, który męki głodowe sam na sobie poznał, tak uporczywie nasuwa się przypuszczenie, że dzieje miłości bohatera „Wiktorji“ — to dzieje serca autora. Nie jest to opis miłości zmysłowej, lecz obraz niepokojów i udręczeń duszy zbyt wrażliwej. Są tu przepiękne sceny z życia dzieci, kiedy miłość jeszcze zupełnie nieświadomie tkwi w sercu czternastoletniego młynarczyka i córki dziedziców, Wiktorji.

Wysłany na naukę do stolicy, bohater wrócił po kilku latach, gdy mu się już wąs puszczać zaczął. Spotkanie młodej pary nastąpiło w lesie, gdzie upływały im w dzieciństwie miłe chwile wspólnej zabawy i wspólnych marzeń. Teraz już miłość zdradza się nie półsłówkami nawet jeszcze, lecz gorętszym rumieńcem, bijącym na twarz bez przyczyny i wcale niepożądanie.

Znowu upłynęło lat kilka. Jan zasłynął jako poeta. Pewnego wrześniowego dnia, gdy przechadzał się po ustronnej miejskiej uliczce, ujrzał przed sobą Wiktorję, która stęskniona przybyła do stolicy, w nadziei zobaczenia go i nie zawiodła się. Usiedli na ławce i z wezbranej piersi Jana wyrwało się pierwsze miłosne wyznanie. Wiktorja poiła się jego gorącemi, namiętnemi słowami, słuchała ich z rozkoszą, przymknąwszy oczy. Na schodach domu szambelaństwa, u których gościła, rzuciła się Janowi na szyję, wyznając, że „jego tylko kocha“. Oszołomiony, wrócił bohater do domu, nieprzytomny, osłabły radością. Nagle się ocknął siadł do pisania i pisał, pisał, pełen natchnienia; snuły się myśli, jedna za drugą, słowa płynęły, jak lawa płomienia. O świcie otwarł okno, wesołym śpiewem budząc śpiących sąsiadów. Wspomnienie pocałunku ukochanej pierś mu rozsadzało.

Taka radość trwałą być nie może. Ta sama Wik., której wyznanie i pocałunek wprawiły go w rozkoszny stan, rozwiała sen jego, oświadczając, że się siebie wyrzec muszą, bo dzieli ich społeczne stanowisko, wola ojca itp. Po jasnej promiennej nocy nastąpiły inne, pełne snów dręczących. Zrozpaczony wyjechał Jan. Nie wiedziano, gdzie przebywa, ale świa-

walka narodowa Rusinów z Polakami mogła by być pod względem postępu rzeczą pożyteczną, bo zmusiłaby Rusinów do szukania przymierza z demokratycznemi, warstwami społeczeństwa polskiego.

W kraju różniczkowały by się stronnictwa: demokraci wyzwoliliby się od przewagi szlachetczyzny, żywioły w kapitał zasobne, chcące przemysłu, byłyby podstawą dla naszych dzisiejszych demokratów.

Dziś stańczykierja czerpie podporę z Wiednia, dzięki Wiedniowi kupować może różnych karjerowiczów, te portfele ministrów austrjackich, któremi od czasu do czasu rozporządza, rozpalają wyobraźnię wielu, jak wielkie losy na loterji.

Wszystko to zmniejsza się z chwilą wyodrębnienia. W kraju niewielkim i biednym nie może być wysokich płac ministerjalnych: nie portfelami ministerjalnymi, lecz przemysłem i handlem uganiający się za bogactwem będą robić interesy. Będzie musiało to zwiększyć polityczną moralność. Oprócz tego zwiększona społeczna kontrola może mieć tylko wpływ dodatni. Wiemy przecie, że jedni i ci sami ludzie, którzy we Lwowie w Ratuszu występowali przeciwko stanowi wyjątkowemu w Galicji, w Wiedniu w Kole polskiem przemawiali w jego obronie.

Nie wiem, czy kiedy Wiedeń nas bronił; wiem tylko, że zasłaniano się nim nieraz. Oto przykład. Skromną, nie wartą nazwy reformy, zmianę wyborczą uchwalił Sejm lwowski w roku zeszłym: zwiększenie o 5 miejskich mandatów. Stańczykierja w Sejmie nie miała czoła głosować przeciwko tej uchwale. Ale drogą swych wpływów wiedeńskich przeciwdziałała jej zatwierdzeniu. Może na dowód, że nas Wiedeń broni, przypomną interpelacje w parlamencie, które pewien skutek odniosły. Ależ rzecz naturalna, że parlament broni od nadużyć władzy wykonawczej. Jakiż dowód, że lwowski parlament by tego nie uczynił; zwiększone prawa zradzają też i odpowiednie obowiązki. Powiedzą, że ma znaczenie wysuwanie sprawy przed forum europejskie. Ależ Europa w każdej swej miejscowości ma tyle swych spraw, a tak mało interesuje się sprawami obcemi.

Nie dla Europy, ale dla własnej społecznej świadomości wysuwać należy nadużycia w parlamencie. A wysuwaniu tych nadużyć jak często przeszkadza ta okoliczność, że ludzie nie chcą czasami prać bielizny domowej publicznie. Należałoby więc przypuścić, że przeniesienie spraw galicyjskich z Wiednia do Lwowa zwiększyłoby ilość wywlekanych spraw, uniemożliwiając ilość nadużyć. Jeżeli dziś ruch socjalistyczny i ludowy nie spotyka tyle przeszkód, co przed 10-ciu laty, zawdzięczyć to trzeba rozwojowi społecznej świadomości u nas w kraju, walce odbywającej się w kraju. Trzeba przedewszystkiem dbać o rozwój własnych sił, o stanie na własnych nogach. Oto podstawowe żądanie wszelkiej rzetelnej demokracji.

Ważnem jest powszechne prawo wyborcze do Sejmu, do rad powiatowych i gminnych. Instytucje te mogłyby stać się posterunkami

---

dectwem, że żyje, były coraz to nowe prace, opiewające rozmaitą miłość, a każdej droga zasłaną była kwiatami i krwią. Kiedy wrócił do rodziców, zaproszono go po raz pierwszy do dworu. Wiktorja przygotowała mu niespodziankę: miały nią być z jednej strony uroczyste jej zaręczyny z szambelanicem Ottonem, z drugiej obecność ocalonej przez Jana od utonięcia Kamilli. Na wieczorze tym rozegrała się scena zazdrości, obudzonej w narzeczonym zachowaniem się Wiktorji względem Jana. Otto, zagniewany, wyjechał i tej samej nocy na polowaniu, zginął, czy też sam sobie życie odebrał. Tymczasem wrażliwy Jan szarpany był przez cały wieczór to niechęcią i urazą do Wiktorji, to znowu gorącem, pokornem uwielbieniem. Wśród tej szarpaniny prawdziwą osłodą był mu przyjazny, wesoły szczebiot Kamilli. To też w chwili, kiedy najbardziej spragnionym był serdecznego ciepła, wyznał dziewczęciu swoją miłość. Niedoświadczona Kamilla, wdzięczność biorąc za żywsze uczucie, przyrzekła wzajemność, ale wkrótce zbudziło się w niej serce i zapłonęło miłością, niestety, nie do Jana.

Powieść kończy się przepięknem, szczerem wyznaniem miłości, które Wiktorja poleca przesłać Janowi po swojej śmierci. Jakżeż do głębi wzrusza ta głucha rozpacz młodej dziewczyny, łaknącej życia, miłości, gdy wie, że umrzeć musi.

Pod względem psychologicznym najsubtelniej jest przeprowadzony charakter Jana. Żaden, by najdrobniejszy objaw uczucia, czy to bólu, czy radości, czy wreszcie obrażonej dumy, nie uszedł uwagi autora, który nie pominął nawet fizjologicznych szczegółów, towarzyszących silniejszym wzruszeniom. Jak wiadomo, Hamsun jest mistrzem w malowaniu obrazów nieokiełznanej wyobraźni, czy to we śnie pracującej, czy w stanie pół snu, pół jawy. Takie obrazy snuła też obficie wyobraźnia Jana przeważnie, gdy nocami pracował, aby ból zagłuszyć.

Równie subtelnie wniknął autor w tajniki duszy Wiktorji, dając nam poznać jej ciągłą wewnętrzną rozterkę między miłością a poświęceniem, między tkliwością a dumą. Kiedy Jan po jej wyznaniu pragnie koniecznie widzieć się z nią, a może usłyszeć jeszcze raz

demokracji. Ale to są postulaty, nie znajdujące się w sprzeczności z postulatem — wyodrębnienia Galicji.

Przeciwnie, propagujcie wyodrębnienie Galicji, a każdy zwolennik tej idei domagać się musi rozszerzenia udziału mas w sprawach krajowych, by je spokrewnić idejowo z temi sprawami, by zrodzić wśród nich autonomistyczne dążenia. Lecz przypuśćmy, że wyodrębnienie następuje przed rozszerzeniem prawa wyborczego do Sejmu. Miasta, które już wybierały posła do ciała prawodawczego, nie tak łatwo zrezygnują ze swych praw — zrodzi się walka o zdobycie prawa wyborczego do Sejmu.

Jaką będzie wyodrębniona Galicja? Trudno dziś dokładnie na to odpowiedzieć. Zależeć będzie dużo, kto przeprowadzi to wyodrębnienie, jakie ideje ją będą ożywiać.

W zaborze rosyjskim, głównem siedlisku polskiego żywiołu, budzi się myśl polityczna, polskie irredenta coraz bardziej zawłada umysłami. Ta myśl polityczna dziś wskrzesza dawno pogrzebaną u na ideję — wyodrębnienia Galicji.

Ta myśl stała u kolebki Królestwa polskiego i krótki okres jego istnienia pozostawił nam bogatą spuściznę.

Myśl zgody z losem, zaciśnięcia się w szczupłe galicyjskie horyzonty stała u kolebki autonomji Galicji, to było jedną przyczyną jej bezpłodności.

Inne ideje, budzące dziś chęć wyodrębnienia Galicji, mogą być gwarancją rozwoju w tym kraju, bo walka o rozwój, to walka o wzmocnienie naszych sił, a sił nam potrzeba wobec nowych politycznych horyzontów, dziś rozpościerających się przed polską myślą polityczną.

Wład. Studnicki.

Odsiecz Książa.

„Pamiętnik Garczyńskiego“,*) dorzuca do bardzo skąpego zasobu wiadomości autentycznych o wypadkach 1848 r. w Poznańskiem wiązankę nowych szczegółów.

Więzień stanu po nieudanym wybuchu powstania w r. 1846, Garczyński, zaledwie wypuszczony w Berlinie z moabickiego więzienia, znalazł się w Poznaniu w centralnem ognisku ruchawki. Wydział wojenny komitetu narodowego p o r u c z y ł m u zorganizowanie powstania w trzech powiatach: mogilnickim, gnieznieńskim i inowrocławskim, później zaś kazał mu skoncentrować siły z powyższych trzech i sześciu innych powiatów w miasteczku Wrześni. Tak więc Garczyński znalazł się na czele czterech tysięcy ludzi w obozie wrzesińskim, po zawarciu zaś konwencji w Jarosławcu przeniósł się z niespełna tysiącem do Nowego Miasta. Tu go zastały wypadki wojenne, a mianowicie zdobycie Książa przez Prusaków (dnia 29. kwietnia 1848 r.) i bitwa pod Miłosławiem.

Pamiętnik Garczyńskiego, o ile dotyczy wspomnianych poniżej wypadków, jest pierwszorzędnej wagi dokumentem historycznym, żałować tylko trzeba, że wydając z rękopisu po raz pierwszy**) dokument takiej wagi, autor szkiców poskąpił komentarzy, Garczyński bowiem brał ważny udział w strasznym dramacie, jaki rozegrał się w Książu pomiędzy garstką walecznych 720 Polaków a przeszło 7 tysiącami nacierających wojsk pruskich Brandta.

*) Szkice historyczne. Stanisław Schnür-Pepłowski. Lwów 1900.

**) Poprzednio drukował p. Schnür-Pepłowski „Pam. Garcz. w odcinku „Dz. Poznańskiego“.

---

owo magiczne słowo, szuka jej w domu szambelaństwa, a nie zastawszy, biegnie do teatru, bo widzieć ją musi, bo w oczach jej miłość wyczytać chce, — wtedy ona nawet spojrzeniem go nie raczy, aby wobec obcych nie zdradzić swojego dlań uczucia.

Tej siły panowania nie posiada wcale druga postać kobieca, Kamilla, młodziutkie, serdeczne, dobre, szczere dziewczę.

Rodzice Wiktorji, mimo małego udziału, jaki mają w powieści, występują wyraziście — znać, że na charakter bohaterki złożyła się duma ojca i tkliwość kobieca matki. Z prawdziwym humorem, tym, co wyciska łzy współczucia, odtworzył autor przygodną figurę byłego guwernera Wiktorji.

Jak w ogóle, tak i w tej powieści, zmusza Hamsun czytelnika do uwagi, dzieła jego nie należą do tych, które przerzucić wystarczy; nieliczne słowa, pełne przedziwnej prostoty, zawierają bogatą treść, a potęgą fantazji nikt mu nie dorówna. *Józefa K.*

Dramat ten zakończył się tak, że wśród gruzów płonącego Książa Prusacy zabrali do niewoli 150 więźniów, około 200 ciężko rannych zasłało pole bitwy, a reszta, prócz 40 kawalerzystów, którzy przedarli się do Nowego Miasta, przypieczętowała śmiercią swe bohaterstwo. Legł i dzielny dowódca obozu ksiąskiego, Florjan Dąbrowski, głos publiczny oskarżał Garczyńskiego, że był sprawcą śmierci tylu walecznych, bo miał im dać pomoc, a nie dał jej.

Między Nowem-Miastem, gdzie stał Garczyński, a Książem, gdzie znajdował się obóz Dąbrowskiego, jest wszystkiego dwie małe mile przechadzki, obaj dowódzcy mogli więc co dwie godziny porozumiewać się przez konnych.

Rozkaz sztabu głównego, którego szefem był Mierosławski, nakazywał obozom nowomiejskiemu i ksiąskiemu w razie napaści wroga pomagać sobie nawzajem i bronić się do upadłego. Dąbrowski już 27. napastowany był przez Brandta i zażądał pomocy od Garczyńskiego spodziewając się bitwy napewno nazajutrz tj. 28. kwietnia. Garczyński posłał mu kompanię strzelców. Już poprzednio nawet żądał Dąbrowski, aby Garczyński przybył do niego z całym swym obozem, otrzymał jednak odpowiedź, że „dyslokację sił zarządzić ma prawo tylko komitet, nie zaś sztab główny“ tj. Mierosławski. Wobec przysłania tylko kompanji strzelców, sądził Dąbrowski, że Garczyński czuje się upoważniony do przybycia mu na pomoc dopiero w chwili boju, nie wątpił jednak, że przybędzie napewno, a to tembardziej, iż kilkakrotnie Mierosławski Garczyńskiemu to zalecał. Dnia 29. kwietnia, rano o wpół do jedenastej, zaczęła się bitwa pod Książem. Dąbrowski posłał do Nowego Miasta ułana z kartką: „przybywaj, krew nasza już się leje“.

Lecz pomoc nie przybywała. Dwukrotnie rzucał się oddział kawalerji, ze 120 ludzi złożony, na dziesięćkroć silniejszą konnicę pruską, dwakroć został odparty i w puch rozbity; chodziło o zyskanie czasu, o wstrzymanie napadu wroga na miasto, o danie Garczyńskiemu możności przybycia. Wreszcie szwadron tej kawalerji rozbitej przedarł się przez wroga i co koń wyskoczy ruszył do Nowego Miasta, aby przyspieszyć przybycie Garczyńskiego. Było najdalej wpół do dwunastej, gdy te rozbite szczątki kawalerji napotkały w pół drogi obóz Garczyńskiego, szybkim marszem spieszący na odsiecz.

Tymczasem stu kilkudziesięciu strzelców w Książu dwie godziny broniło przystępu do miasta. Bronili się z wściekłością, jaką tylko rozpacz lub nadzieja rychłej odsieczy dać może. Była godzina druga popołudniu, a Garczyński nie przybywał. Co chwila wśród walczącej garstki odzywały się głosy: „już idą, już idą“ i to dodawało odwagi. Wreszcie o trzeciej, gdy strzelców wybito już prawie do nogi, wdarł się wróg do miasta. Czekali go tam kosynierzy z nadzieją, że Garczyński teraz już napewno przybywa. Miałby przecież czas wyjść ze swego obozu, wrócić doń nawet i przyjść jeszcze raz na pomoc. Ale Garczyński nie przybywał. Wreszcie pożar Książa dokonał tego, czego nie zdołało dokonać dziesięćkroć silniejsze wojsko pruskie: zbici w jedną kupę na rynku, wyparci ze wszystkich ulic strzałami i pożarem, bronili się kosynierzy do ostatka. A Garczyński nie przybywał. Wreszcie się poddano. Odebrano broń więźniom a niepohamowane w swej wściekłości żołdactwo rzuciło się na jeńców i rannych, mordując ich bez pardonu — bezbronnych i bezwładnych.

Co się stało z Garczyńskim, przez Bóg żywy!?

Posłuchajmy, co pisze Garczyński w pamiętniku o tej strasznej chwili. Pisze on, że spotkawszy już w pochodzie, o milę od Książa, szwadron kawalerji, przyspieszył marszu, ile to było możliwe i gdy przybył pod Książ, ustawił pod lasem, o ćwierć mili odległym od miasta, swój oddział, a sam zbliżył się do placu boju dla zbadania pozycji nieprzyjacielskiej. „P r z y b y ł n i e s t e t y z a p ó ź n o“ pisze o sobie Garczyński.

Przekonajmy się o prawdziwości tego twierdzenia. Gdy stanął pod Książem, było najdalej w pół do pierwszej, skoro kawalerzyści z Książa spotkali go o milę od placu boju, a zaraz po jedenastej zostali rozproszeni. Co się działo o w pół do pierwszej w Książu? Kosynierzy jeszcze nie walczyli. Po rozproszeniu kawalerji wystąpili strzelcy i bronili się zacięcie. Gdy stał Garczyński pod Książem, w Książu stało jeszcze około 500 kosynierów. Lecz, że widział w Książu „płomienie gorejących domostw i dolatywały jęki rannych“, jak sam pisze, „mając trzystu kosynierów, ośmdziesięciu strzelców, szwadron kawalerji, nie mógł ponawiać boju po klęsce Dąbrowskiego“. „Rozum i doświadczenie nie kazały mu dobywać już z a t r a c o n e g o K s i ą ż a“.

Tak pisze Garczyński, aby usprawiedliwić się z tego, że nie poprowadził swych żołnierzy do boju, lecz, spłoszony kilku armatnimi wystrzałami, cofnął się do Nowego Miasta, pozostawiając wrogowi wolność zdobywania Książa po trupach obrońców jego, a obrońcom Książa — wolność umierania z nadzieją, że Garczyński „już idzie na pomoc“.

Lecz powyższe dane o siłach, jakiemi wtedy Garczyński rozporządzał, są w p r o s t k ł a m l i w e. Chęć usprawiedliwienia się w oczach potomności uniosła go tak daleko, że zapomniał widocznie o istnieniu raportów dziennych swego obozu. Z raportu takiego, na dzień boju tj. 29. kwietnia, przekonywujemy się, że Garczyński miał p r z y t o m n y c h d o b o j u dwustu osiemdziesięciu sześciu strzelców (nie osiemdziesięciu),

mianowicie trzeci pluton, (Karczewskiego), czwarty pluton (Szumana) i pół plutonu (Wargoskiego); kosynierów zaś miał trzystu osiemdziesięciu dziewięciu (nie trzystu); ten szwadron kawalerji zaś — było to 214 głów i 225 koni. Razem więc było, licząc w to i 40 kawalerzystów z Książa, gotowych powtórnie rzucić się do boju, dziewięćset dwudziestu dziewięciu ludzi.

Gdy tak Garczyński, mając blisko tysiąc ludzi nie spieszy na odsiecz, pozostawiając za sobą walczących współbraci, cóż robi Jan Mittelstädt, dowódzca oddziału, złożonego ze stu przeszło głów, a stojący w pobliskim Solcu? Na głos wystrzałów armatnich biegnie na plac boju, naciera ze swemi kosynierami na tyły wojska pruskiego i dostaje się do niewoli.

Takiem jest tło historyczne najważniejszych wypadków opisanych w pamiętniku Garczyńskiego.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Psychologja tłumu.

Gustaw Le Bon: Psychologja tłumu w przekładzie Z. Poznańskiego. Wydawnictwo Związku naukowo-literackiego. Nakładem H. Altenberga. Lwów 1899.

(2

Jeżeli moralność, powiada Le Bon, pojmować będziemy jako ustawiczne przestrzeganie pewnych norm społecznych oraz ciągłe tłumienie popędów egoistycznych, to jest rzeczą jasną, iż tłum zbyt jest impulsywny i zbyt ruchliwy, aby mógł być moralnym. Ale jeżeli przez moralność rozumieć będziemy nagłe przejawy przymiotów takich, jak: abnegacja, poświęcenie, bezinteresowność, ofiarność, potrzeba sprawiedliwości, to możemy powiedzieć, przeciwnie, iż tłum bywa niekiedy zdolen do czynów moralnych bardzo wzniosłych.

Nieliczni psychologowie, którzy zajmowali się tłumem, badali go ze stanowiska kryminalistyki a spotykając się wskutek tego przeważnie ze zbrodniczymi czynami tłumu, orzekli, iż jego poziom moralny jest bardze niski.

Częstokroć tak bywa, bezwątpienia. Ale tłum, będąc skłonnym do morderstwa, podpalania i wszelkich innych zbrodni, jest równocześnie zdolny do ofiar, do poświęceń i czynów wysoce bezinteresownych, o wiele wznioślejszych nawet od tych, których dokonać potrafi osobnik pojedynczy. Odwołując się do miłości sławy, do poczucia honoru, do uczuć religijnych i patrjotycznych, działamy po największej części na tłum i często przecież spotykamy się z poświęceniem bez granic.

Nawet skończeni hultaje, gdy są w tłumie, bardzo często na chwilę stają się wyznawcami moralności wielce surowej.

To umoralnianie jednostki przez tłum nie jest bezwątpienia stałą regułą, ale daje się często zauważyć i nawet w okolicznościach nie tak poważnych, jak te, o których była mowa wyżej.

A zatem, jeżeli tłum z jednej strony ulega często instynktom niskim, to z drugiej daje też niekiedy przykład wzniosłej moralności. Jeżeli bezinteresowność, rezygnacja, absolutne poświęcenie dla ideału urojonego lub rzeczywistego stanowią cnoty moralne, to można powiedzieć, że tłum posiada te cnoty często w stopniu takim, jaki bardzo tylko rzadko osiągnęli najwięksi myśliciele. Moralność to nieświadoma — zapewne, ale to rzeczy samej nie zmienia.

Rzeczą jest jasną, iż zbiór osobników nabywa cech tłumu zorganizowanego nie przez sam tylko fakt, iż znaczna liczba jednostek zbiera się przypadkowo razem. Tych cech specjalnych nabierze ów zbiór dopiero pod wpływem pewnych bodźców. Zanik wszakże świadomości swego „ja“ u jednostek i nadanie ich uczuciom i myślom pewnego oznaczonego kierunku, te najpierwsze cechy organizującego się tłumu, nie zawsze idą w parze z jednoczesnem przebywaniem licznych osobników w jednem i tem samem miejscu. Tysiące osobników nie zgromadzonych w jednem miejscu, mogą w pewnych chwilach, pod wpływem pewnych gwałtownych uczuć, n. p. jakiegoś wielkiego wypadku narodowego, nabyć cech tłumu psychologicznego. A wówczas dość będzie, gdy jakiś przypadek połączy tych ludzi, aby i czyny ich przybrały natychmiast specjalne cechy czynów tłumu. Bywają chwile, gdy pół tuzina ludzi tworzy tłum psychologiczny, podczas gdy kiedyindziej setki osobników przypadkowo zgromadzonych nie nabierają tego charakteru. Z drugiej strony znowu cały naród, nie tworząc widzialnego zbiorowiska, pod działaniem pewnych bodźców może stać się tłumem.

Tłum więc psychologiczny, to istota przejściowa, utworzona z pierwiastków różnorodnych, które na czas pewien stopiły się, zupełnie tak, jak komórki, będące żyjącymi organizmami i tworzące przez połączenie nową istotę o cechach wielce odmiennych od tych, jakie posiada każda komórka z osobna.

Wbrew opinji Spencera, twierdzi Le Bon, że agregat, tworzący tłum, nie jest bynajmniej sumą i średnią jego składników. Mamy tu bowiem do czynienia z kombinacją i tworzeniem cech nowych tak samo, jak w chemji przy połączeniu pewnych składników tworzy się nowe ciało złożone, posiadające własności zupełnie odmienne od pierwiastków, które w jego skład weszły.

Skonstatowawszy to istnienie duszy tłumu, przejawiającej się w skierowaniu myśli i uczuć jednostek, wchodzących w jego skład, w pewnym kierunku i zaniku u nich poczucia swej osobowości, swego „ja", daje Le Bon następujące objaśnienie tego zjawiska. Życie świadome umysłu — powiada — stanowi wobec jego życia nieświadomego nieznaczną tylko cząstkę. Najsubtelniejszy analityk i najprzenikliwszy spostrzegacz jest w stanie odkryć bardzo małą tylko ilość pobudek nieświadomych, kierujących umysłowością człowieka. Poza jawnemi przyczynami naszych postępków istnieją niewątpliwie przyczyny utajone, do których się nie przyznajemy sami przed sobą, a poza temi ostatniemi znajduje się wiele innych, jeszcze bardziej tajemnych, z których my sami nawet nie zdajemy sobie wcale sprawy. Te właśnie nieświadome pierwiastki dominują w zbiorowej duszy tłumu. Ludzie, inteligencją najbardziej do siebie niepodobni, mają instynkta, namiętności i afekta bardzo podobne.

Te więc ogólne cechy charakteru, będące wypływem czynników nieświadomych i posiadane przez większość normalnych osobników danej rasy w stopniu mniej więcej równym, w tłumie stają się cechami wspólnemi.

Gdyby jednak przy połączeniu się osobników w tłum, w tym ostatnim ogniskowały się tylko pospolite cechy właściwe każdemu indywiduum zosobna, mielibyśmy w tłumie przeciętną tych cech, nie zaś, jak to już zaznaczyliśmy wyżej, tworzenie się cech nowych.

Pojawienie się specjalnych cech tłumu zależy od rozmaitych przyczyn, a najgłówniejsze z nich są następujące:

Przedewszystkiem gra tu rolę l i c z e b n o ś ć tłumu, w znaczeniu skupienia pewnej znaczniejszej liczby ludzi. Osobnik w tłumie, już z racji samej liczebności ostatniego, nabywa pewnego uczucia niezwyciężonej potęgi, pozwalającej mu dawać folgę tym instynktom, które, będąc sam, usiłowałby niechybnie poskromić. Tłum przecież jest bezimienny i jako taki nieodpowiedzialny, znika zatem i owo poczucie odpowiedzialności, które zawsze jest hamulcem dla pojedyńczego człowieka.

Drugą przyczyną jest z a r a z l i w o ś ć i n a ś l a d o w n i c t w o. W tłumie, powiada Le B. każde uczucie, każdy czyn są zaraźliwe. Do tego stopnia, że ludzie często wskutek naśladownictwa i zarazy, będąc w tłumie, poświęcają interes osobisty dla interesu wspólnego.

Trzecią przyczyną jest s u g g e s t j a. Bardzo dokładne spostrzeżenia zdają się dowodzić, że osobnik stanowiący przez pewien czas cząstkę tłumu czynnego, wkrótce — pod wpływem jakiejś emanacji tego tłumu, czy też dzięki innym przyczynom, których bliżej nie możemy określić — popada w stan osobliwy, wielce zbliżony do tego, w którym znajduje się człowiek uśpiony przez hypnotyzera. Przestaje on mieć świadomość swego „ja". Jak u człowieka zahypnotyzowanego, tak samo i u niego wraz z zanikiem pewnych zdolności inne wprawione być mogą w stan nadzwyczajnej egzaltacji. Pod wpływem suggestji wykonywa on pewne czyny z gwałtownością niepohamowaną, która u tłumu występuje z mocą większą, niż u zahypnotyzowanego osobnika, gdyż suggestja ogarniając wszystkie wchodzące w skład tłumu osobniki, przez wzajemność jeszcze się potęguje.

Po tej ogólnej charakterystyce tłumu przechodzi Le Bon do bliższego zbadania jego cech. Rzecz oczywista, iż możemy tu przedstawić wyniki jego badań w najogólniejszych tylko zarysach.

Tłum przedewszystkiem jest w wysokim stopniu i m p u l s y w n y a będąc igraszką wszelkich podniet zewnętrznych odbija w sobie bezustanną ich rozmaitość. Te rozmaite impulsa, którym tłum ulega, mogą być stosownie do rodzaju podniety, szlachetne lub okrutne, bohaterskie lub małoduszne, ale są zawsze tak imperatywne, że interes osobisty nawet instynkt samozachowawczy nie jest w stanie ich zwyciężyć. Ponieważ podniety, które działają na tłum i którym on ulega bywają najrozmaitsze, tłum jest przeto nadzwyczaj z m i e n n y m i w jednej chwili z okrutnego i krwiożerczego może się przeobrazić w wysoce szlachetny i idealnie bohaterski. Nic łatwiejszego dla tłumu, jak stać się katem, ale z równą łatwością może on przyjąć palmę męczeństwa. Wszak to z łona tego tłumu płynęły potoki krwi, gdy chodziło o tryumf wiary i nie ma potrzeby sięgać aż do czasów bohaterskich, aby się przekonać, do czego tłum jest pod tym względem zdolny. W działaniu tłumu nie ma żadnej premedytacji, może on przejść stopniowo przez całą gamę uczuć najsprzeczniejszych, ale zawsze będzie pod wpływem podniety chwilowej. Trzecim wreszcie rysem zasadniczym tłumu jest jego d r a ż l i w o ś ć i g w a ł t o w n o ś ć.

Wskazywaliśmy już wyżej, iż suggestja i zaraźliwość należą do najpotężniejszych czynników, odziaływających na duszę tłumu. Rozpatrując ich znaczenie w osobnym rozdziale, przytacza Le Bon cały szereg charakterystycznych przykładów, dowodzących jak łatwo pod ich działaniem szerzą się halucynacje zbiorowe w zbiorowiskach ludzkich, złożonych z najróżnorodniejszych osobników, zarówno nieuków, jak i ludzi o wykształceniu wyższem.

I dla tego świadectwa zbiorowe, zarówno jak spostrzeżenia zbiorowe są zdaniem Le Bona najbłędniejsze ze wszystkich i najczęściej bywają tylko złudzeniem osobnika, który drogą zarazy zasuggestjonował innych.

Uczucia tłumu — powiada dalej autor omawianego dzieła — dobre czy złe, mają zawsze dwojaką cechę: są bardzo proste, nie subtelne i zarazem przesadne. Wskutek prostoty i przesady swych uczuć, tłum nie ma ani wątpliwości ani niepewności. Z jednej ostateczności przerzuca się on, jak kobieta, w drugą. Rzucone podejrzenie staje się dlań natychmiast prawie niepodlegającym dyskusji pewnikiem, a lekka antypatja lub nagana, które u indywiduum pojedynczego nie wywołałyby dalszych następstw, u osobnika w tłumie wnet przekształcają się w okrutną nienawiść. Przesadny w swych uczuciach, tłum jest też wrażliwy tylko na uczucia afektowane. (D. n.)

Z pism i książek.

Wydanie dzieł Juliusza Słowackiego wyszło nakładem górnośląskiej księgarni Karola Miarki w Mikołowie. Są to dwa tomy wielkiej objętości, pięknie oprawne i z portretem poety. Cena za obydwa — 4 marki tj. $2^1/_2$ guldena. Wydawnictwa Miarki, rozchodzące się pomiędzy ludem w krociach tysięcy egzemplarzy, trafiają dzięki swej przystępnej cenie „pod strzechy“. Niedawno w tem samem wydaniu wyszły pisma A. Mickiewicza (cena 3 mk. = 1 zł. 85 ct.) Nie przeczuwali zapewne obaj poeci, że pisma ich jeszcze w bieżącem stuleciu trafią na Śląsku do warstw ludowych!

Wspomnienia z kulturkampfu. 1875—1878 nap. ks. W. Smigielski. (nabywać można tylko wprost od autora, proboszcza w Ostrowie, W. ks. Poznańskie, w handlu księgarskim dziełko powyższe się nie pojawiło.) Broszurka X. Śmigielskiego ciekawy z czasem stanowić będzie przyczynek do historji kulturkampfu w Prusiech, specjalnie zaś w W. Ks. Poznańskiem. W bezpretensjonalnej formie pamiętnika spisuje autor swe wrażenia z owych burzliwych czasów. Przebywając w charakterze tajnego misjonarza w parafii Kotłowie (pod Mikstatem), przez trzy lata krył się po chałupach, stodołach i lasach, spełniając obowiązki swego stanu, a to życie koczownicze nie odebrało mu ani odwagi ani humoru. Nabożeństwo zaczynało się w owych czasach zazwyczaj po północy, a kończyło się, zanim świt się pojawił.

Zdarzyło się raz (w Chynowej), że żandarmi otoczyli kościół, w którym znajdował się X. Śmigelski. Nie tracąc fantazji, w przebraniu chłopskiem umknął z rąk żandarmów. Wreszcie go złapano i uwięziono. Przypomina to bardzo opisy prześladowania unitów na Podlasiu.

Jednodniówka na dochód ubogich i chorych wyszła w Poznaniu w formie pokaźnego zeszytu fol., ozdobionego pięknemi ilustracjami. Złożyły się na treść, różnorodną pod względem formy i wartości, drobne utwory pióra przeważnie poznańskiej inteligencji. Jednodniówkę powitać należy ze szczerem zadowoleniem już dla tego samego, że jest ona dowodem ruchu umysłowo-towarzyskiego tej dzielnicy, którą cała Polska o brak wszelkiego ruchu, o ospałość na polu literatury posądzać zwykła, nawia.

W wydawnictwie na cel szlachetny wydanem nie wypada wskazywać rozmaitych usterek, lecz zalety wskazać wolno i należy.

Jedną z najlepszych rzeczy, jakie dział literacki zawiera, jest nie nosząca żadnego tytułu nowelka na str. 12 i 13, podpisana literą J. — Autor, czy autorka powinni się starać rozwinąć dobrze zapowiadający się talent nowelistyczny. W dziale rysunków odznacza się „Wielkopolanka“ prof. Jaroczyńskiego i kredkowy szkic Fałata. Na muzyce, zwłaszcza pisanej, się nie znam, wygrać sobie nut nie potrafię — więc piękności działu muzycznego ocenić nie umiem.

A prawda: są i aforyzmy, których pominąć nie należy, skoro dodają „jednodniówce“ wiele rozmaitości i zasługują na wyróżnienie. Trudno mi zwłaszcza pominąć aforyzmy St. Waszyńskiego, z których dwa przytaczam:

„Do najszczęśliwszych chwil życia zaliczam te, w których myśl moja, pozbywszy się wszystkich więzów i względów, wprost przed siebie leci, wierząc, że w prawdę zajrzy, jak w Boga oblicze. Takich mi złudzeń jak najwięcej“.

— „Pracować, umierać dla swoich, wśród swoich powinien każdy — nie każdy może“.

Dziwnie się zeszły dwa aforyzmy: ten ostatni Dra Waszyńskiego i aforyzm prof. Dra L. Rydygiera, że „tyle człowiek wart, ile Ojczyźnie i bliźnim przysłużyć się może“.

Z zestawienia tych dwóch aforyzmów wyłania się coś, jakby rozdźwięk, zachodzący pomiędzy „starym“ a „młodym“ poglądem na świat i na stosunek jednostki do społeczeństwa. Zresztą nie pora tu zgłębiać ten rozdźwięk — dość go zaznaczyć. *R.*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.